

ERIM

Józef Czechowicz
KAMIEŃ

Józef Czechowicz



KAMIENÍ

Opracowanie elektroniczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki Exerim.pl
Zdjęcie na okładkę: Justyna Diablica.

Exerim 2015
2 | 2015-2 | v-pdf

Spis treści

Inwokacja

Pędem

Koniec rewolucji

Front

Knajpa

Śmierć

Przemiany

Na wsi

Piosenka ze łzami

O niebie

Ampułki

We czterech

Więzień miłości

Inwokacja

Liczę 22 piętra
liczę 22 lata
jest nas dwudziestu dwóch

Człowiek to transformator
a przecież można liczyć miesiące albo dni
ileż wtedy sobowtórów ma staruszka w pince-nez
nieskończony jest przemian ruch

Przez pince-nez widać w błękitnie żonglowanie
z rzadka piłka upada na tenisowy kort
ręce ciągle zajęte planet podbijaniem
w pikowej bluzce córka komunisty
w jedwabnej koszuli lord
dysonansowy dystych

To nie jedno to zawsze to wszędzie
wielka wielość nieskończoność Cyfr
to co było to co jest to co będzie
w matematyce ma leitmotiv

Mam dopiero 22 lata
znam dopiero 22 piętra
znam zaledwie dwadzieścia dwoje warg
zapomniałem miliardy o swej dumie pamiętam
nieść się wysoko jak maszt wśród latarni

przez dnie przez gwar przez targ

Pędem

Światło fosforyzujących drzew przepala kościane wieże
drgnęło i potoczył się po płytach samochodów potok
ulicę Złotą ośnieżył
kłębem bębniącym benzynowego dymu zabłąkitnił na złoto

W rozwiewaniu się welonów i grzyw
widać jasno że maszyna pieści
krajobrazy się rwą
lecieliśmy przez czarne mokre miasto
naraż błysło przedmieście
wachlarze kratkowanych niw

Chrzęści żywioł pszeniczny
każdy kłos inny
jednak na wszystkich polach starej ziemi
tysiącami się znajdują jednakowe
co rok takie same ma Reims i Przemyśl
a wszystkie złotopłowe

Jeden taki zasuszony w kajecie
przy innym kosą przecięty skonał zając
trzeci w brudnych rączkach trzymając
opowiadały mi dzieci
że za plecami skrzydła mają
(opalone ciała dziewcząt pachniały nad rzeką jak prerie)
teraz mknę bez skrzydeł na białym citroenie

wiatr klaszcze nad mym pędem jak w cyrku galerie
pszenicę pochyla nad ziemię

Jeden kłos dwa trzy kłosy
nieskończoności płowe włosy
giną rząd za rzędem
za moim i nieskończoności pędem

Koniec rewolucji

Marszczyła się ceglasta woda
przygnębiały ją domy ceglaste
żeglowała czarna łódź niepogoda
nad miastem

Dudnił deszcz o deseczki i deszczułki
na dziedzińcach tartaków zaśmieconych wilgotną trociną
na niebie było ciemno chmurno jak w zaułku
za niebem było sino

Mokro biły pomokłe sztandary
dymy zataczały się na bruku
spitym mglistorudawym pożarem
ględził z parkanów gruby druk

Z dalekiej drogi mlask błota
salwy drą zmierzch koło koszar
a przedmieściem
przesuwało się już w piosence gawrosza
w nieustannych mitraliez terkotach

Front

Ludzie w białych domach mówią to pole chwały
w niedziele chodzą do kościoła i na białe procesje
ulicami czystymi w słońcu przebiega pies biały
w białym kwitnącym parku Zakochana czyta poezje

Ale tutaj nie ma wcale białości
w szarej ziemi rowy pełne brudnych żołnierzy
dym siny i różowy przechodzi do nas przez rzekę
nie białe żółte są kości
armatniego ataku ognisty prąd
na niebie nieustannie leży
to front
to zstąpienie do piekieł

Odcinek 212 i wzgórze 105
we dnie szturmy i strzały
a w nocy przez dym przedzierają się reflektory
po drutach kolczastych biegają błyski żywe jak rtęć
wszystko ma wtedy inne kolory

Gdy cicho zbłąkana kula wślizgnie się w białe czoło
zniecka zrobi się białe (nawet na froncie)
biała niedziela biały park piesek biały
zatańczą wkoło

Pole chwały

Knajpa

Tłumnie mijaly się auta
centkowane kręgami lamp
wracano z rautu

Nagie ramiona w bransoletach pochylały się nad brukiem
równolegle poziomo i w ukos
z gestów dam
wynikało że chcą spędzić wieczór w gabinetach
pić wesoło i długo

Błysła zabawa

Nie było gwiazd
nie wiadomo było czy noc już schodzi
w czterech jedwabnych ścianach nie ma ulic miast
nikt nie przechodził

Głosy w pijaństwie gasły głaskały się coraz dalej
smukły pan całował ażurowe pantofelki
jedna para tańczyła
spadała komenda pij nalej
z ust panienki w sukience lila
gulgotały nad kieliszkami butelki

Nagle zaczęły się przesuwać kąty gabinetu
żeby nie upaść musieli usiąść
czarne nocne okno błądziło ze ściany na ścianę

kwadraty posadzki goniły za daleką meta
wydęte banie portier wirowały nad stołów oceanem

Usiedli usnęli
gabinet jak wagon pomknął ku świtowi
głowy pijane odrzucili w tył
żyły im nabrzmiwały krwią i alkoholem
a z niemocy tych głów z gorączki żył
realizuje się fantom-Golem

Byłby może zmiażdżył tę gromadę
ale oto
w liryce dalekiego tanga
zaczął warczeć codzienny motor
zmieniło się niebo blade
w jaskrawy prześwielisty hangar

Śmierć

Za ścianą płaczą dzieci
Ona do mnie mówi
Oddycham lodowym kwieciem
nieznanych równin

A tam kołysanki
a tu chust poszum
nie ma nic gorętszego cichszego od jej głosu

Na próżno żyję myślę chodzę tylko przed Progiem
a gdy płynę przez miasto wieś
szumię lasami kawiarnią bezdrożem teatrem
to ona zawsze jest gdzieś
za ciszą nocną wiatrem

Zgłuszyć nie mogę

Nieruchome nad ulicą zachody
miedziane jak grosz
gwarzące syrenami samochody
mury fabryk w nieustannym tętnie
mądry pociągu bieg
krzyczą o życiu namiętnie
nie wierzą że jest brzeg

Ja chcę nie wierzyć i nie chce wierzyć mały poszarpany kruk
którego psy rozdarły

śmierć chodzi ona do mnie mówi szeptem gorącym
zdaje się że z obrazu złotego dna wychodzi Bóg
schyla się nade mną umarłym i krukiem zdychającym

Na rzęsach wstydliva łza
widzę w niej świat gliniany jak skarbonka
nachodzi na mnie lodowa łąka
to już nie ja

I ciebie kuku nie ma
(może nikogo nie ma za złotym tłem)
zawiły schemat

Przemiany

Żyjesz i jesteś meteorem
lata całe tętni ciepła krew
rytmy wystukuje maleńki w piersiach motorek
od mózgu biegnie do ręki drucik nie nerw

Jak na mechanizm przystało
myśli masz ryte w metalu
krążą po dziwnych kółkach (nigdy nie wyjdą z tych kólek)
jesteś system mechanicznie doskonały
i nagle się coś zepsuło

Oto płaczesz
po kątach trudno znaleźć przeszły tydzień
linie proste falują — zamiast kwadratów romby
w każdym głosie słysząc w całym bezwstydzie
Ostatecznego Dnia trąby

Otworzyły się oczy niebieskie
widzą razem witrynę sklepową i Sąd
przenika się nawzajem tłum—archanioły i ludzie
chmurne morze faluje przez ląd
ulicami skroś tramwaje w poprzek
suną mgliste rydwany
pod mostami różowe błyskawice choć grudzień

Otworzyły się oczy niebieskie

widzisz siebie-marynarza w Azji
a zarazem 3-letniego 5-letniego chłopca
na warszawskim podwórku
i siebie przed maturą w gimnazjum
namnożyło się tych postaci stoją ogromnym tłumem
a wszystko to ty
nie możesz tego objąć szlifowanym w żelazie rozumem

Myśli proste falują światy zaćmiewa wichura
gdzie wiatr dmie—gasną latarnie
trąba w ciemności ponura
i wołasz

WŁADYKO PRZYGARNIJ

Otóż i jesteście umarły
w mechanizmie poruszają się kółka ale nie te
przez zepsucie się małej sprężynki
spadłeś piękny meteorze
na zupełnie inną planetę

Na wsi

siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach
popołudnia wiejskie grzeją żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
życie pola złotolite

wieczorem przez niebo pomost
wieczór i nieszpór
mleczne krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu

nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec

księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegóż się bać

przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem

Piosenka ze łzami

Kołysanki

z dalekich okien zmarszczki blasków złotych

na ścianie

próżno tam dosięgać rączką

w dużej książce malowanki

zimowych dni narkotyk

Słowa z żalu

taka piosenka co się w niebo wsący

ja jednak wierzę

oddaję się wszystkim falom

niech mnie daleko niosą niech nikt nie stoi przy sterze

kołysanki takt ostatni się skończy

w straszliwych burz gwałtowności

Piosenko czemu mnie sprzedajesz

ze słów i pamiętania niemoc

był łańcuch — jam go nie rozciął

nie mogłem siebie przemóc

O niebie

Nie słychać już biegnących baranków
wilgotne obłoki poszły do innych poranków
z pustej hali nieba opada pył niebieski
filtruje się przez drutów przerwy i kreski
południe przysypuje się suche i szorstkie
nad sylwetkami aeroplanów i chłodem fabrycznych dzielnic

Warto śpiewać jego chwałę jest nasze i zamorskie
tak bardzo piękne gdy śmiga przez nie śmiały pion komina cegielni
a razem
nad dalekimi lasami dzwoni błękitnym żelazem
pierwotne i olbrzymie
gdy stanąwszy u białego miasta napełnia się dymem
gdy wie że jest dnia chlebem
warto śpiewać jego chwałę

Południe jest jasno jednakowe
południe wygina swą powagę opada kruszynami tynku
za dni dziecinnych wyginała mi się nad samą głowę
i wtedy szeptał do mnie stamtąd ktoś mój synku

Ampułki

Nad pogrzebem balkony chorągwie i trumna
w chmurze samolot
w porównaniu z człowiekiem który to zrozumiał
lokomotywa ekspresu — nie kolos
we wsiach młocarnie nie dziwią krów,
piosnka kabaretu od płotu do płotu
jedyna rzeczywistość udręczeń ma coś ze snów
każdy nie wierzyć jest gotów

Reklama ryczy za reklamą
sygnał świeci do sygnału
z ostrych gwizdawk i kłębów pary wzlotu
znać tempo życia wciąż to samo
mimo szybkości obrotów
kilkadziesiąt milionów łańcuchów
ciągnie świat pomału
wiadomo że nie ma prawieczystej jedni no i duchów
w niezliczone dla oka strony
rozpełza się życia proces
wszędzie miliony biliony tryliony
straszliwe noce

Nory wilgną od płaczu nędzy
w kawiarniach małej miścinie na froncie
tryska śmiechami literatura
w pałacu zielony stolik stosy pieniędzy

Gdybym to mógł zamącić
już bym był górą

Patrzcie
za zamkniętymi drzwiami
może naprawdę kolorowe drogi się palą
dlaczegożby wszystko co jest
nie mogło się zmienić wraz z nami
w świętość zapach ampułki Graala

We czterech

Rozwija się dróg gwiazdnych rulon
ziemia się toczy za Zwierzem
jak przetrwać noce cwałujące do bólu
dni fabrykę huczącą jak przeżyć

Na beton mlecznych szlaków się wzbić
jednym pływackim rzutem ramion
i już stopy biegnące po łące nieba
trawę gwiazd łamią

Jest nas czterech na starcie
jest nas czterech na złotej linii komety
jest nas czterech (to ja jestem czwarty)
jest nas czterech celujących do mety

Wprzód!

Podrywają się grzbiety wygięte
głowy biegną rozkrzyczane przed ciałem
bieg smaga nagich jak prętem
gdzie radość gdzie żal

W locie
zdeptały wszechświat stopy nasze
w wichurze migających czerni i rozzłoczeń
w kurzawie
runęły groby i ołtarze

Tak ogromny jest lot ku sławie

Jest nas czterech rzuconych jak globy

jest nas czterech

jest nas czterech pijanych sobą

jest nas czterech

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad

gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie

niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra

winem przez wino na winie po niebie

A tam jak strzała z łuku bursztynowych chmur brzegiem

przelatuje lotem bez zmęczenia poeta Wacław

on na pewno w aksamitnym tygrysim biegu

piersi obłąkanych pędem nie roztrzaska

I Stanisław tętniący stopami jak we śnie

finisz biorąc z wysiłkiem nadmiernym zbyt ciężko

nie zawoła do siostry śmierci weź mnie

chyże nogi umkną umkną przed klęską

Winograd spokój chyżość

do nich to meta nadbiega nieznana

obłoki pod stopami jak na sznur się nanizają

piorun zwycięsko strzeli na tryumf jak granat

Biegnę biegnę jak życie człowiecze

razem witam i razem już żegnam

lot jakbyś rzucił mieczem

ale nie wiem

matko nie wiem czy dobiegnę

Więzień miłości

Kochankowie spotykają się nocą
w październiku spada z nieba dużo meteorów
niejeden już zagasł dymiący kaganek
odkąd Ona przemknęła staroświecką karocą
wśród tętniących warczących kolorów

Najpiękniejsza z niespodzianek

Błękitni spotkaliśmy się nocą
nie feeria czy alkohol
 boży błękit
ale nawet
 bo i po co
nie uścisnęliśmy sobie ręki

Tak było napisane na 18 stronicy
głowa samobójcy leżała na otwartej księdze
w ustach jęk
 już niczyj
w dłoniach nie wiem ale pewno niewidzialne ręce

Błękitni spotykają się nocą
rozmowa w gwiazdach widzianych przez poezję

— Tęsknota Czekanie Nikt nie wezwie Czekam Tęsknota
Kocham Dalekość Ty Gwiazdy złocą Kocham
Czekanie pieszczot Nie marzeniem słowa tve szeleszczą

Błękit

Gdzie jest błękitem błękitno

Smagłe ręce Pieszczota Zapalone oczy

Pod futrami Rozkosz Błyski Nagie ciało

(Nie tobą sny kwitną

dzieciństwo nie tobą pachniało

choć czekałem cze ka łem CZE KA ŁEM)

Błękitni spo

Wychodził z dancingu

Jej usta w usta położyły się ostro nagle

i był biały kwiat na czerni smokingu

A błękitny został wołał

rozpacz

nocą

na bagnie

O nie

erotyk nie może się skończyć rozpaczą

są tacy co czytają i płaczą

lepszy jest płacz z zazdrości

Nie ma ciszy

wiekami wiekami niedzielą nocą wśród prac

wszędzie gonił mnie płomień miłości

pieniła się w girlandach elektrycznych lamp

gorzała jarkim ogniem w wszystkie dalekości

sżrapnelami biła w kościół

wszystko moje jest tam

Marysia z Marylami Marie Mary z Marią

Strzelistymi aktami rozmodlonych rąk
piętrzyłem to upalne wiwarium
przy jednej życia zwrotnicy
pociąg pełen jak strąk

Chrupały miłość z jękiem skargi
czerwone czerwone czerwone wargi

Piersi nie po to są by wabić
lecz by się ciężkim ciałem dławić

Nogi płasające na łożu pijanym
muszą orgię przesunąć daleko za ranek

Mechanizm miłości dziwnym jest przyrządem
wszystkiego chce zaznać wszystkiego pożąda

Jem długo wilgotne usta są w moich wodnistym mięszem
włosy nie potem benzyną chyba pachną
pod biegnącym nóg i ramion gąszczem
od płomiennych spojrzeń czerwono i jasno

A TO NIE JEST MARZENIE BŁĘKITNYCH WIERSZY

Świat jednym miłości motorem
krzyk mój nad nim ulata
krzyk płomień płowy płodności gore
nie najlepszy nie ostatni nie pierwszy
jestem anteną drgającą tego świata

Upiorną codziennością świeci każda nagość

jak przez pajaca przez żywe ciało przewleczona nieć
nie ma tego w żadnym eposie
takich ksiąg nie wiezie znikąd wagon
że męczyć własną mękę to żyć

Dziewczątka zakonnice i dziwadła z mózgu
smutne damy w żałobie nietoperze o olbrzymich ustach
władacie mną ja władam wami
przede mną odkryte to co wam się z rąk wymyka
kopała stalowa z gwoździami gwiazdami
 która może jest pusta
i strefa od pierwszego do setnego zwrotnika

Gwiżdżą syreny nienawiści
tętnią jeźdźcy tuż koło mnie
wbrew ziemi tu mi bezdomnie
a dalej w otchłani świeci czyściec
od rozpusty nierozum i wiara
od zgubienia poezji niepokój
ziemio duszo stara
1926 roku

Bunt uwiądl w ramionach miłujących uwięziony mówię
 mowa się rytmicznie tka
 jeden wyraz drugiemu rówien

WIECZNOŚCI CHCĘ
BEZ DNA
BEZ DNA

Informacje o licencjach



Utwór „Kamień” autorstwa Józefa Czechowicza jest własnością publiczną, ponieważ prawa majątkowe do niego wygasły.



E-book „Józef czechowicz – Kamień” jako opracowanie elektroniczne jest udostępniony przez Exerim.pl na licencji [Creative Commons 4.0: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne, na tych samych warunkach](https://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/4.0/).